

Zrozumieć Kaukaz, czyli kilka uwag o metodzie reporterskiej w analityce

Wojciech Górecki

Kaukaz to pojęcie geograficzne i polityczne. W pierwszym znaczeniu określa góry, które ciągną się ponad tysiąckilometrowym łańcuchem od Morza Czarnego do Morza Kaspijskiego. W drugim – region na pograniczu Europy i Azji, dzielący się na dwie części: Kaukaz Północny, wchodzący w skład Federacji Rosyjskiej (FR), oraz Południowy, obejmujący trzy niepodległe państwa – a w przeszłości republiki związkowe ZSRR – Armenię, Azerbejdżan i Gruzję. Ten esej jest poświęcony Kaukazowi Południowemu, ale wzajemne związki obu subregionów są tak silne, że nie da się też uniknąć nawiązań do Północnego – w wielu wymiarach tworzą one wspólny „ekosystem”. Nie uciekniemy również od geografii: granica pomiędzy obiema częściami Kaukazu, a zarazem granica Rosji z Gruzją i Azerbejdżanem, biegnie w przeważającej części głównym grzbietem kaukaskich gór. Nieliczne miejsca, gdzie da się go przekroczyć i które poprowadzono drogi, mają w związku z tym superstrategiczne znaczenie.

Więźniowie geografii...

Badając Kaukaz, trzeba mieć stale przed oczami jego mapy – polityczną i fizyczną. Dotyczy to, rzecz jasna, także innych regionów świata, ale w przypadku Kaukazu bez ich obu nie wytłumaczymy dosłownie żadnego z istotnych, kształtujących jego oblicze procesów.

Na mapie politycznej uderzają dwie rzeczy. Po pierwsze, że **region jest niejako „zamknięty” – ograniczony od zachodu i wschodu morzami** (profesor

Wojciech Materski w pierwszym zdaniu swojej książki o najnowszej historii Gruzji pisze – wielką literą – o „Przesmyku Kaukaskim”). Gdy dodamy do tego Rosję na północy oraz Turcję i Iran na południu, zrozumiemy, jak karkołomne jest przeprowadzenie lądowego korytarza transportowego z Chin do Europy, który omijałby zarówno Rosję, jak i Iran.

Idea ta przyciągała większą uwagę Zachodu dwa razy: po rozpadzie ZSRR, gdy uruchamiano program TRACECA (akronim od angielskiej nazwy **T**ransport **C**orridor **E**urope–**C**aucasus–**A**sia) oraz po agresji Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 r. (inicjatywy wokół tzw. korytarza środkowego). Towary przesyłane tą drogą muszą być przeładowywane co najmniej dwukrotnie, na obu brzegach Morza Kaspijskiego (z pociągów na statki i z powrotem na pociągi), a jeżeli z Gruzji skład nie wędruje bezpośrednio do Turcji – w obu krajach przepustowość infrastruktury kolejowej jest ograniczona – dochodzą do tego dwa przeładunki nad Morzem Czarnym. Ale po ataku Izraela na Iran 13 czerwca 2025 r. i zamknięciu przestrzeni powietrznej nad znaczną częścią Bliskiego Wschodu okazało się, że korytarz nad Gruzją i Azerbejdżanem ratuje komunikację lotniczą pomiędzy Europą a Azją.

Podobnie jak cały Kaukaz, „zamknięte” są też poszczególne jego krainy, choćby Abchazja, należąca de iure do Gruzji, ale pozostająca od początku lat 90. XX wieku poza kontrolą Tbilisi, a po wojnie rosyjsko-gruzińskiej 2008 r. uznana przez Moskwę za niepodległe państwo. „Z jednej strony jest morze, z drugiej góry, z trzeciej Gruzini, a z czwartej Ruscy. Gdzie się mamy, do cholery, podziąć?” – pytał i rozkładał bezradnie ręce jeden z bohaterów mojej książki o tej nieuznawanej republice, zadając zresztą mimochodem kłam twierdzeniu, że Abchazowie kochają Rosję bezwarunkowo.

Separatystyczny wicepremier parapaństwa, zamordowany w 1995 r. Jurij Woronow, tłumaczył zaś, że „Kaukaz jest przechodnim podwórzem między dwoma morzami. Tutaj nigdy nie wytworzyły się same z siebie silne organizmy państwowe. Tutaj zawsze rządzą obcy. Jak nie Rzym, to Bizancjum, Persja, Turcja czy od dziewiętnastego wieku Rosja. [...] Kaukaz to drzwi, wrota, a wrota powinny być zawsze otwarte”. Woronow, profesor archeologii i autor książek o historii Abchazji (w jej pierwszym separatystycznym kierownictwie nie brakowało polityków z tytułami naukowymi), uważał w związku z tym, że Rosja albo wróci na Kaukaz Południowy i ponownie go sobie podporządkuje, albo będzie musiała wycofać się z czasem również z Kaukazu Północnego, ustępując miejsca innym graczom. To już jednak temat na inny esej.

Druga rzecz zwracająca uwagę na politycznej mapie regionu to **mnogość jednostek narodowo-terytorialnych o różnym zakresie autonomii**. Na rosyjskim Kaukazie Północnym leży 7 spośród 21 republik FR (idąc z zachodu na wschód, są to: Adygeja, Karaczajo-Czerkiesja, Kabardo-Bałkaria, Osetia Północna,

Inguszetia, Czeczenia i Dagestan), zajmujących łącznie powierzchnię nieco ponad 110 tys. km², czyli mniej więcej jednej trzeciej Polski (dla porównania największa rosyjska republika – Jakucja – liczy trochę powyżej 3 mln km², czyli dziewięć i pół razy więcej niż nasz kraj). Na terenie Gruzji znajdują się dwie republiki autonomiczne – Adżaria i separatystyczna Abchazja – a także drugie parapaństwo, niemająca żadnego formalnego statusu Osetia Południowa (w czasach ZSRR była obwodem autonomicznym, obecnie to formalnie region cchinwalski – od miasta Cchinwali). W Azerbejdżanie status autonomiczny posiada będąca eksklawą Republika Nachiczewańska, natomiast utracił go Górski Karabach (Górsko-Karabaski Obwód Autonomiczny należał do radzieckiego Azerbejdżanu; w 1991 r. stanowiący tam większość Ormianie proklamowali Republikę Górskiego Karabachu – separatystyczne parapaństwo, które zostało ostatecznie zlikwidowane przez siły azerbejdżańskie w 2023 r.). Żadnych terytoriów tego typu nie ma jedynie w Armenii.

Skomplikowany podział administracyjny odzwierciedla sytuację etniczną regionu. Kaukaz to narodowościowa, lingwistyczna i religijna mozaika, tygiel świata, gdzie „na małej powierzchni jest dużo wszystkiego”. Już w połowie XIX wieku Michał Andrzejkowicz-Butowt notował: „w naszym stulecznym Kaukazie jedziesz, zapalisz fajkę u ogniska jednego narodu, a nim ją skończysz, już miniesz kilka krajów i narodów” (*Szkice Kaukazu*, t. I, Warszawa 1859, s. 86). Dotyczy to zwłaszcza Kaukazu Północnego, ale też Gruzji – bardzo zróżnicowanej regionalnie (pomijając autonomię, każda z kilkunastu historycznych krain ma własną specyfikę, a często i dialekt, zaś gruzińscy Swanowie i Megrelowie mówią odrębnymi, chociaż spokrewnionymi z gruzińskim, językami) – i Azerbejdżanu, zróżnicowanego regionalnie i etnicznie.

Warto pamiętać, że trzy główne narody Kaukazu Południowego należą do trzech różnych rodzin ludów: Ormianie – do indoeuropejskiej, Azerbejdżanie – do tureckiej (turkijskiej), a Gruzini – do rdzennej, kartwelskiej (gruzińskiej). Cały region zajmuje w sumie 186 tys. km² – to nieco ponad połowa Polski. Na równie zróżnicowany krajobraz składają się góry z wiecznie ośnieżonymi pięciotysięcznikami, dwa ciepłe morza, palmy i bambusy, stepy i półpustynie. W samym Azerbejdżanie występuje dziewięć z jedenastu istniejących na Ziemi typów klimatu (według klasyfikacji Władimira Köppena). Etniczna i przyrodnicza mozaika to efekt ukształtowania terenu. Dominują tu góry i przedgórza (przykładowo niziny zajmują tylko 13% powierzchni Gruzji), co sprawia, że poszczególne doliny rozwijały się w izolacji. Odległość z jednej wioski do drugiej może wynosić 10 km, ale jeśli po drodze jest przełęcz, którą co roku na kilka miesięcy zasypuje śnieg, to każda z osad będzie żyła swoim życiem, wykształcając z czasem nieco inną leksykę, ale też ornament czy sposób przygotowywania potraw, a w efekcie – mentalność.

To wszystko trzeba mieć z tyłu głowy, analizując bieżącą politykę, choćby wojnę rosyjsko-gruzińską z sierpnia 2008 r. Gdy Rosjanie zajęli na kilka dni Gori, położone 80 km na zachód od Tbilisi i znane z tego, że urodził się tam Stalin, było jasne, że są w stanie małym kosztem sparaliżować i wyłączyć z gospodarczego krwioobiegu świata dwa państwa – obok Gruzji także Azerbejdżan. Dlaczego? Bo przez miasto albo jego najbliższe okolice przebiegają najważniejsze równoleżnikowe szlaki transportowo-komunikacyjne Kaukazu Południowego: droga wschód–zachód, kolej, linia energetyczna, wreszcie – ropo- i gazociągi. Poprowadzono je wąskim paskiem równiny, na której leży Gori – dosłownie parę kilometrów na północ i południe od niego zaczynają się góry – i teraz wszystkie znalazły się w zasięgu agresora.

Ale znajomość map to nie wszystko. Na wielu z nich jako jedną z głównych dróg w Gruzji zaznaczono trasę alternatywną wobec tej przez Gori – prowadzącą na południe od niej, wzdłuż granicy z Turcją i kończącą się w nadmorskim Batumi. Można było pomyśleć, że wprowadzie rurociągów i kolei się tamtędy nie przerzuci, lecz transport kołowy nawet w warunkach okupacji Gori będzie funkcjonował bez zakłóceń. Tyle że w rzeczywistości jest to gruntowy miejscami trakt, dostępny wyłącznie dla aut z wyższym zawieszeniem, a i to tylko przez kilka miesięcy w roku.

Aby o takich rzeczach wiedzieć, trzeba jednak dobrze znać region również z autopsji, z regularnych wizyt studyjnych, które wraz z bieżącą, ciągłą analizą źródeł otwartych stanowią sedno analitycznego warsztatu OSW. W czasie takich podróży obok stolic odwiedza się też prowincję – porusza tamtejszymi drogami, zagląda na lokalne bazy (co, skąd i w jakiej cenie się tam sprzedaje?) i rozmawia z taksówkarzami, chętnie dzielącymi się najnowszymi plotkami i przemysleniami na każdy temat. Ma to wiele wspólnego z pracą reportera zbierającego w terenie materiał do artykułu czy książki. Z warsztatu reporterskiego możemy zresztą zaczerpnąć dużo więcej, o czym w dalszej części tekstu.

Niemal piętnaście lat po tamtej wojnie, wiosną 2023 r. przebyliśmy ową niby alternatywną trasę z kolegami z Ośrodka (wyjazd we dwie lub więcej osób ma tę zaletę, że można na bieżąco dzielić się spostrzeżeniami). Normalnej drogi nadal nie było i gdyby nie maestria Andrzeja Kohuta, który prowadził samochód, utknęlibyśmy na dobre. W efekcie naszej pracy powstał m.in. film *Gruzja. Cicha wojna między Zachodem a Rosją*, dostępny na kanale OSW na YouTube. Szlak można znaleźć na Mapach Google, ale nie widać tam ani stanu nawierzchni, ani choćby jego rzeczywistej szerokości. A w 2008 r. nawet takie narzędzia stanowiły pieśń przyszłości.

...i historii

Drugim obok geografii filarem, na którym powinien opierać się gmach wiedzy analityka zajmującego się Kaukazem, jest historia. I znowu – dotyczy to też specjalistów od innych regionów i krajów, ale od tego regionu – zdecydowanie bardziej. Miejscowe przysłowie mówi, że na Kaukazie raz się strzeli, a echo odbija ten wystrzał przez kolejne stulecie. A czasami dłużej.

W tamtejszych dyskursach odwołania do naprawdę odległych dziejów pojawiają się częściej niż gdzie indziej. O czymś prawie do danego terytorium ostatecznie przesądza dowiedzenie, że jego przodkowie żyli tam wcześniej niż przodkowie adwersarza. Dlatego oprócz historii „obiektywnej” badacz Kaukazu musi znać narracje, jakie na temat przeszłości głoszą strony poszczególnych konfliktów. Powinien także śledzić kolejne wydania podręczników szkolnych ukazujących się w Armenii, Azerbejdżanie i Gruzji, ale również w Abchazji (Osetia Południowa takowych prawie nie wydaje). I na Kaukazie Północnym.

Ważną rolę odgrywają przy tym empatia oraz wczucie się w lokalną wrażliwość i sposób myślenia, gdyż tamtejsze narracje przełożone na polski czy angielski „jeden do jednego”, bez uwzględnienia kontekstów kulturowych, będą brzmiały w wielu przypadkach co najmniej dziwacznie, a to trąci już orientalizmem. Gruzini wznoszący toasty za Stalina – robią to zresztą coraz rzadziej – nie pochwalają zbrodni komunistycznych i rzadko kiedy chcą powrotu dyktatury. Piją zwykle za człowieka, który wziął pod but Rosję i wygrał wojnę („A kimże on był?! Synem szewca z zapyziałej dziury i niedoszłym księdzem!” – oznajmił mi lata temu wielki gruziński aktor Kote Macharadze, występujący w poświęconym Dżugaszwilemu monodramie). I którego zna cały świat, co dla małego narodu nie jest bez znaczenia. Nie oznacza to, że nie należy przy tym prostować ewidentnych przeinaczeń czy wskazywać celowych fałszerstw.

„Ustarożytnianie się” kaukaskich narodów może najbardziej skrajnie pokazuje historia człowieka z Dmanisi, czyli najstarszych poza Afryką pozostałości pitekanropa (*homo erectus*). Odkryto je w 1991 r. (a następne lata przyniosły dalsze znaleziska) w pobliżu miasteczka Dmanisi, niespełna 100 km na południowy zachód od Tbilisi. W 2000 r. w stolicy Gruzji otwarto wystawę poświęconą dmaniskim wykopaliskom. Pojawił się na niej ówczesny przywódca Eduard Szewardnadze, który wyczuł, że temat może się okazać nośny. W okresie prezydentury Micheila Saakaszwilego (2004–2013) wokół tych kości zbudowano narrację – rzecz jasna żartobliwą, ale niosącą podprogowy przekaz o starożytności państwa – że „pierwsi Europejczycy” pochodzili właśnie z Gruzji, a hasło „Tu (stąd) zaczęła się Europa” (*Europe started here*) wyrosło na motto jednej z promujących kraj kampanii reklamowych. Na echa owej narracji natrafimy jednak nawet w dyskursie naukowym, np. Tea Szelia z Gruzjińskiego Muzeum Narodowego zamieściła w polskim czasopiśmie kartwelologicznym

„Pro Georgia” (2018, nr 28) artykuł zatytułowany *Dmanisi – ojczyzna najdawniejszych Eurazjatów*. Warto dodać, że znalezionym przez archeologów szczątkom praludzi nadano gruzińskie imiona Zezwa i Mzija, co w sposób symboliczny określiło ich narodowość.

Tu trzeba by się odnieść do zagadnienia, czy Gruzja (i cały Kaukaz) to Europa, czy Azja, ale wykracza to poza ramy niniejszego eseju – tym bardziej że trudno o jednoznaczne rozstrzygnięcie. Nawet geografowie nie są w tej kwestii zgodni, chociaż większość uważa, że to jednak część Azji (choć w tradycji anglosaskiej granica kontynentów na odcinku kaukaskim biegnie wododziałem pomiędzy zlewniami obu mórz, zatem zachodnia część Gruzji leżałaby w Europie, a wschodnia – w Azji). Oczywiście wszystko można zadekretować: Kazachstan w styczniu 2010 r. objął przewodnictwo w Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, a Izrael od dawna startuje w rozgrywkach sportowych w grupach europejskich. Gdyby jednak brać pod uwagę kryterium kulturowe – moim zdaniem najistotniejsze – granica przecinałaby region, lecz nie prostą kreską, tylko zakosami, łukami, esami-floresami, zostawiając po obu stronach liczne enklawy należące do sąsiada. Na dodatek zmieniałaby co chwilę swój przebieg. Ale to uwaga na marginesie.

Sprawą większej wagi niż człowiek z Dmanisi jest przeszłość nieistniejącego już jako odrębna jednostka Górskiego Karabachu. Według Baku to „odwieczne” azerbejdżańskie ziemie, a masowe ormiańskie osadnictwo rozpoczęło się tam dopiero w XIX wieku, po zajęciu ich przez Rosję (Ormianie przybywali z Persji i Imperium Osmańskiego). Z kolei w narracji Erywania region „od zawsze” zamieszkiwali Ormianie, a w skład Azerbejdżanu wszedł on bardzo niedawno, za czasów ZSRR. Na tak drastyczne różnice interpretacyjne wpływa m.in. brak wiarygodnych danych na temat składu etnicznego tego obszaru w XIX wieku oraz wybiórcze korzystanie z tych dostępnych.

Strona azerbejdżańska powołuje się na statystyki dotyczące całego historycznego Karabachu, a więc także Nizinnego, gdzie zdecydowanie przeważali muzułmanie. Ponadto zwraca uwagę na początkową odrębność Kościoła Albanii Kaukaskiej, włączonego do Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego dopiero w 1836 r. Ma to dowodzić, że dawni karabascy Ormianie to w istocie zarmeni-zowani Albanowie (a według współczesnej azerbejdżańskiej historiografii mieszkańcy Albanii Kaukaskiej, która istniała pomiędzy II wiekiem p.n.e. a VIII wiekiem n.e., odegrali bardzo istotną rolę w etnogenezie narodu azerbejdżańskiego). Baku akcentuje również, że na tych terenach funkcjonowały różne podległe Persji organizmy państwowe, w tym Chanat Karabaski, i traktuje go *a priori* jako państwo azerbejdżańskie.

Z kolei strona ormiańska przytacza dane odnoszące się do samego Górskiego Karabachu, gdzie – oprócz Szuszy i jej okolic – zdecydowanie dominowali

Ormianie. Jednocześnie głosi, że odrębność Kościoła Albańskiego to kwestia czysto formalna, gdyż od początku VIII wieku był on połączony unią z Kościołem Ormiańskim, na jego czele stał lokalny ormiański władca, zaś liturgię sprawowano po staroormiańsku. A poza tym – to kolejny argument Erywania – nie wiadomo, gdzie się Albania Kaukaska kończyła i jakie dokładnie tereny obejmowała.

Test na prawdę i „rozbrajanie twarzy”

Jak zweryfikować prawdziwość uzyskanych informacji lub pojedynczej wypowiedzi i wysnuć z nich właściwe wnioski? W arsenale analityki znajdziemy na to różne sposoby, z których najważniejsze to wewnętrzna i zewnętrzna krytyka źródeł – choć lista możliwych do popełnienia przy tej okazji błędów jest bardzo długa.

Dlatego warto sięgać też po metody wykorzystywane przez reporterów. Pierwszą jest oczywiście **samodzielna weryfikacja faktów na miejscu** przy okazji podróży studyjnych. Polina Żerebcowa, autorka przejmujących dzienników czeczeńskich, które zaczęła pisać jako mała dziewczynka, zauważyła: „Wierzyć można tylko temu, co się zobaczyło na własne oczy. I w żadnym razie nie dowierzać uszom” (*Dzienniki czeczeńskie 1994–2004*, tłum. Agnieszka Knyt, Warszawa 2018, s. 212). Tak, analityki z pewnością nie wolno uprawiać wyłącznie zza biurka! Do legendy Ośrodka przeszła historia z lat 90. związana z projektem badawczym poświęconym nowym szlakom transportowym łączącym Azję i Europę. Gdy nie udało się zdobyć wiarygodnych danych o przepustowości portu w Batumi, koordynujący projekt pojechał do Gruzji i udał się do górującego nad tym terenem ogrodu botanicznego, skąd przez kilka dni liczył wpływające i wypływające kontenerowce.

Przydatny w pracy analitycznej może okazać się stosowany przez wielką reporterkę Hannę Krall **test na prawdę**. Zgodnie z nim naszą czujność powinna wzbudzić... zbytnia spójność i logiczność narracji, jako że samo życie rzadko bywa spójne i logiczne. Notabene wybitny analityk i wielokrotny ambasador RP Wojciech Zajączkowski do najczęstszych błędów analitycznych zaliczył właśnie „dążenie do spójności narracyjnej za wszelką cenę” oraz „przekonanie o logiczności rzeczywistości społeczno-politycznej” (w książce *Rozumieć politykę międzynarodową. Metody analizy źródeł otwartych*, Warszawa 2025).

Krall wpadła na pomysł owego testu podczas mszy odprawianej przez księdza Adama Bonieckiego. Czytano wówczas fragment Ewangelii według świętego Jana o tym, jak Grecy chcieli zobaczyć się z Jezusem, ale najpierw podeszli do apostoła Filipa, a ten przekazał ich Andrzejowi. Do Jezusa udali się potem. Po mszy Krall zapytała Bonieckiego: „Adamie, dlaczego oni nie

poszli do Jezusa od razu?”. Odpowiedział, że nie wie. „Przecież ważne jest to, co im powiedział” – stwierdził. Reporterka na to, że wie, co jest ważne, po prostu ją to ciekawi: może się bali, a może trudno się było do niego dostać? Ksiądz pomyślał, że Krall wątpi w prawdziwość historii, ale ta stwierdziła: „Nie, jest wprost przeciwnie. Ta opowieść jest prawdziwa, ponieważ jest zupełnie bez sensu. Gdyby ktoś ją wymyślił, to by wymyślał tak, żeby wszystko było logiczne. A tutaj jest wszystko nielogiczne. Nie wiadomo, dlaczego – ale tak było”. Wtedy Boniecki oznajmił: „Wiesz, nigdy nie myślałem o Ewangelii jako o reportażu”.

Według Krall rozmówcy jednak z reguły nie oszukują i nie zamierzają wprowadzić dziennikarza w błąd, by narzucić mu swoją wersję. Po prostu „ludzie czasami uważają, że reporter być może nie zrozumie dokładnie tego, co oni przeżyli, a na ogół przeżywali rzeczy straszne, przynajmniej ci ludzie, których ja słuchałam. I wobec tego chcą jeszcze coś dopowiedzieć, żeby było to jeszcze bardziej wyraźne. Żeby ten reporter przygłupi jeszcze lepiej to zrozumiał, bardziej się przejął. I oni to nawet w dobrej wierze robią. Oni nie oszukują. Tylko chcą dopowiedzieć coś jeszcze”.

W pierwszej połowie lat 90., podczas moich pierwszych podróży po Kaukazie, w tym po terenach objętych konfliktami (Osetia Północna i Osetia Południowa, Czeczenia, Dagestan, Abchazja), z powodzeniem korzystałem z **metody „rozbrajania twarzy”**, której nauczyłem się od największego polskiego reportera – Ryszarda Kapuścińskiego. W następnych latach, będąc już pracownikiem OSW, uciekałem się do niej choćby w trakcie przekraczania granicy pomiędzy tzw. Gruzją właściwą, czyli kontrolowaną przez władze w Tbilisi (określenie niezbyt fortunne, ale nie znam lepszego), a separatystyczną Abchazją. Na tamtym brzegu rzeki Inguri zawsze słyszałem: „No i jak podobało ci się u tych faszystów?! Kupili cię już?”. O to samo pytali mnie Gruzini, gdy wracałem z parapaństwa. W takich sytuacjach nie wolno kłamać. Można, a nawet trzeba nie mówić całej prawdy – ale kłamać nie wolno. Należy spokojnie wysłuchać tego, co ma do powiedzenia mundurowy – bo zwykle interesowało to mundurowych, choć zdarzali się bezpieczniecy w cywilu – i spróbować „rozbroić” ich twarze. Dobrze robi też powołanie się na lokalny autorytet: „Po co tam jadę? Bo jestem gościem tego a tego!” (oczywiście rzeczony autorytet powinien przynajmniej wiedzieć, że kręcimy się po okolicy). Na Kaukazie gość jest świętością i świadomość, że ktoś ważny może wystąpić w naszej obronie, skutecznie zniechęca do zrobienia nam krzywdy. Niestety, nie działa to na Rosjan, którzy teraz stacjonują nad Inguri, ale w innych miejscach regionu – wciąż tak.

O „rozbrajaniu twarzy” Kapuściński opowiadał wielokrotnie. Chodzi o to, że kiedy mogło go spotkać coś złego – gdy zatrzymywał go patrol albo zaczepiał uzbrojony bandzior – uśmiechał się. Nie miał innej broni, często nie mógł się

nawet inaczej porozumieć. Początkowo ponure oblicza napotkanych stawały się jeszcze bardziej zacięte: „On chyba z nas drwi!”. Potem jednak szczerzy uśmiech robił swoje – zastygłe fizjonomie z wolna tajały, drgały w nich pierwsze mięśnie, pojawiały się grymasy, te zaś przechodziły w nieśmiały zwrotny półuśmiech: oto kolejna twarz została rozbrojona, unieszkodliwiona.

„Metoda reporterska w analityce” (samo to sformułowanie jest oczywiście na wyrost i ma charakter pewnej prowokacji) może odnosić się jednak do metod zbierania materiałów czy odróżniania prawdy od fałszu, ale nie do samego przekazu. Tutaj analityk i reporter różnią się zasadniczo. Pierwszy opisuje świat, stawiając tezy, które musi uzasadnić (istotne, by opierał je na faktach, a nie dobierał fakty tak, by pasowały do założonych z góry tez), natomiast drugi chce przedstawić fakty w możliwie pięknej formie i w uniwersalny sposób. Ma też więcej swobody – wolno mu przykładowo za pomocą anegdoty oddać coś, co w tekście analitycznym (nie mówiąc o akademickim) wymagałoby długiego wywodu i licznych przypisów.

Nie oznacza to, że reportaż nie powinien diagnozować rzeczywistości jak najprecyzyjniej. Lubię cytować Mariusza Szczygła, który tak opisał jeden z zabiegów Krall (zastosowany w wydanej w 1972 r. książce *Na Wschód od Arbatu*): „Zagadka dla młodych czytelników. Oto zdanie o możliwościach dojazdu do miejscowości Wierszyna na Syberii: «Autobus jeździ codziennie z wyjątkiem dni, kiedy pada deszcz, kiedy są zaspasy, kiedy jest wiosenne i jesienne błoto i kiedy są na drodze wyboje – po deszczu, błocie i zaspach». Zdanie to krytycy wskazywali jako przykład mistrzowskiego stylu Krall oraz jako genialnie skonstruowaną informację. Co w nim jest niezwykłego? Otóż Krall pisze, że autobus do Wierszyny jeździ codziennie, ale jednocześnie pisze w zawoalowany sposób, że autobus do syberyjskiej wioski nie jeździ prawie nigdy. Nie mówi tego wprost, bo Związek Radziecki ma być wzorcem szczęśliwości, w którym wszystko skazane jest na sukces”.

Po drugiej stronie lustra

Kapuściński uważał się za tłumacza kultur. W 1993 r. w wywiadzie dla pisma „Res Publica Nowa” powiedział: „Bardzo świadomie staram się, żeby moje książki były rodzajem tłumaczenia, przekładaniem jednej kultury na inną kulturę, jednej racji na inną rację, jednego sposobu myślenia na inny sposób myślenia”. **Tłumaczami kultur** powinni być także analitycy: mówiliśmy już o koniecznych w tym zawodzie empatii i wyczuciu kontekstów kulturowych – bez tych przymiotów zamiast wyjaśniać daną obcą rzeczywistość, będziemy ją zafałszowywać. Wojciech Zajączkowski zaliczył „syndrom zwierciadła” do poważnych błędów analitycznych, a zdefiniował go jako „przenoszenie na analizowaną,

obcą rzeczywistość schematów interpretacyjnych zapożyczonych z własnej rzeczywistości analityka”.

Umiejętność właściwego odczytywania obcych kodów kulturowych nabywa się latami – i nigdy nie ma się pewności, czy zrozumiało się wszystko do końca. Bariere może stanowić choćby nieznajomość lokalnych języków. Oczywiście jest, że badacz zajmujący się na serio danym krajem musi znać jego język, ale w przypadku całego Kaukazu w grę wchodziłoby ich co najmniej kilkanaście, w wielu przypadkach skrajnie różniących się od siebie – a to zadanie tylko dla najbardziej uzdolnionych poliglotów (którzy z kolei nie muszą się przecież cechować zacięciem analitycznym). Innym pozostaje albo wąska specjalizacja, albo zdanie się na rosyjski i angielski.

Dwa razy, w dwóch częściach regionu – w zachodniej Gruzji, zaraz po wojnie domowej ze Zwiadem Gamsachurdia, oraz w Czeczenii, w okresie rządów Dżochara Dudajewa – młodzi ludzie zadali mi (po rosyjsku) to samo pytanie: „Co polscy starcy sądzą o tym, co się u nas dzieje?”. Wówczas, w pierwszej połowie lat 90., na Kaukazie działo się sporo, ale myślę, że nasi seniorzy nie mieli na ten temat żadnego zdania. Pytanie pokazywało natomiast, że w wioskach, skąd pochodzili moi rozmówcy, owi starcy tak jak przed wiekami zbierali się, omawiali ważne sprawy i dochodzili do wspólnego stanowiska, przekazywanego potem całej społeczności.

Słowa „starcy” nie należy przy tym brać dosłownie – tu oznacza ludzi cieszących się autorytetem oraz mających doświadczenie i wiedzę o życiu. Rzecz jasna, nie mogą to być młokosy, ale nie każdy musi mieć na karku osiemdziesiątkę albo dziewięćdziesiątkę. Z czasem zacząłem przechodzić na ten kod kulturowy automatycznie – sam pytałem ludzi, co starcy z ich wioski czy klanu twierdzą o tym albo o tamtym. Do rozmówcy trafiał pozawerbalny przekaz, że znam i szanuję miejscowe stosunki oraz interesuje mnie zdanie starszyzny – i udzielał mi on wyczerpującej odpowiedzi. A jeśli włożył starszyźnie coś w usta – zostanie to na jego sumieniu. Dziś takie pytanie dobrze jest zadać nieco inaczej: co **wy** (jako rodzina, wspólnota, klan) o tym sądzicie? A w metropoliach i wśród zwesternizowanych elit, które nie chcą być kojarzone z konserwatywną tradycją: co o tym myślą **oni** (prości ludzie, prowincja, duchowni)? Zarówno w reportażu, jak i analityce jakość odpowiedzi zależy od sposobu zadania pytania.

Czasami zależy także od języka, w jakim się je zada. Znajomy Tadżyk chciał kupić w Mazar-i Szarif alkohol, w Afganistanie nielegalny. Dowiedział się, że pokątnie sprzedają go w dwóch sklepikach. W pierwszym odezwał się po tadżycku (na tych terenach używa się go powszechnie). Właściciel go wyrzucił, węsząc prowokację. W drugim spytał po rosyjsku – i dostał, co chciał.

Na Kaukazie **precyzja językowa** jest w ogóle niezwykle istotna. W oficjalnych rozmowach z Gruzynami zamiast „Osetia Południowa” należy mówić,

jak już wspomniałem, „rejon cchinwalski”, w Azerbejdżanie lepiej unikać nazwy „Saingilo” (etnonimu określającego obszar na północnym zachodzie kraju, zamieszkiwany przez gruzińską mniejszość) itd. Gdy istniała jeszcze nieuznana Republika Górskiego Karabachu, nazwę jej stolicy zapisywałem jako „Stepanakert (azerb. Chankendi, Xankəndi)” – zaczynałem od wariantu sowiecko-ormiańskiego, co naturalnie nie oznaczało podważania integralności terytorialnej Azerbejdżanu. Od czasu likwidacji parapaństwa na pierwszym miejscu umieszczam już jednak wariant oficjalny, azerbejdżański (a często wyłącznie ten). Jest to zresztą zgodne z wytycznymi Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych poza Granicami Rzeczypospolitej Polskiej (uchwała z 8 listopada 2023 r.). Język azerbejdżański korzysta z alfabetu łaćnińskiego, ponieważ jednak obce nazwy własne oddaje się w nim fonetycznie (np. Wojciech Górecki to Voyçeh Quretski), uważam, że nazwy azerbejdżańskie trzeba konsekwentnie spolszczać: pisać choćby Chankendi, a nie Xankəndi, ewentualnie podawać obie wersje.

Szczególny przypadek stanowi Abchazja. Opublikowałem kiedyś w „Rzeczpospolitej” artykuł, który zatytułowałem *Kraj w cudzysłowie*. Tłumaczyłem w nim, że opisując ten separatystyczny region, trzeba czasem brać w cudzysłów najprostsze słowa, bo znaczą tam co innego: „Językiem «państwowym» [czy można mówić o „państwowym” języku w parapaństwie?! – WG] Abchazji jest abchaski, jednak niemal wszyscy, przynajmniej w Suchumi, używają na co dzień rosyjskiego. W obiegu jest rosyjski rubel, choć «formalna» waluta to abchaski apsar, wart według sztywnego kursu dziesięć rubli (bite są wyłącznie monety okolicznościowe)”. A tak naprawdę formalną walutą jest przecież gruzińskie lari.

Wszystko płynie

Badając Kaukaz, należy pamiętać, że **widzialna, zewnętrzna warstwa rzeczywistości może przesłaniać odmienny – i prawdziwszy – obraz zjawisk**. Tak bywa z sytuacją kobiet. Na pierwszy rzut oka ich pozycja społeczna może się wydawać niska, bo przykładowo w wielu miejscach nie zasiadają do biesiadnego stołu z mężczyznami i jedzą posiłek w kuchni (kobieta gość jest tam zwykle traktowana jak mężczyzna). W takim tradycyjnym domu kobieta może jednak rządzić i rozdawać karty, tyle że zakulisowo. Nie zmienia to faktu, że w niektórych środowiskach rzeczywiście dochodzi do rozmaitych patologii: przemocy domowej lub wydawania za mąż dziewczynek (takim sytuacjom – także skrywanym przed obcym wzrokiem – dziennikarka Stasia Budzisz poświęci książkę *Pokazucha. Na gruzińskich zasadach*).

W mojej *Planecie Kaukaz* opisałem rodzinę lezgińskiego poety z Dagestanu: „Poznaliśmy się, gdy jeszcze był aktywistą. Ktoś mnie przyprowadził do niego na kolację. Gospodarz miał pod ręką dzwoneczek, którego używał do komunikacji

z rodziną. Dzyń, dzyń – i przybiegała żona. Gestem pokazywał jej pusty półmisek albo karafkę. Żona zniknęła w kuchni i po paru sekundach była z powrotem, dokładając pieczeń i dolewając wina. Dzyń, dzyń, dzyń – pojawiał się najmłodszy syn. «Papierosy»! – komenderował ojciec i w chwilę później otwierał nową paczkę. Biesiadnikom, a przy stole siedzieli sami mężczyźni, wyrażnie to imponowało. «Kaukaski macho» – myślałem, obserwując Fejzudina. Tamtego wieczoru dzwoneczek często szedł w ruch i żona nie nadążała z winem. W końcu goście się rozeszli, ja zostałem na noc. Obudziło mnie pragnienie. Dowlokłem się do kuchni i zobaczyłem, jak macho krząta się przy garach. Już pozmywał, właśnie zabierał się do kartofli. Żona i synowie spali w najlepsze”. Daleko od oczu postronnych toczyło się życie zupełnie inne od tego widzianego przez nich.

Podobnie bywa choćby z afiliacją polityczną: partie i przeróżne ugrupowania wciąż jeszcze niejednokrotnie budowane są nie wokół programu czy zestawu wartości, ale miejsca pochodzenia założycieli. Aby zrozumieć czyjeś wybory, warto dowiedzieć się, skąd wywodzi się ród tej osoby (można od kilku pokoleń mieszkać w Baku, ale być uważanym – i samemu się uważać – za „karabaskiego”, „gandżyńskiego”, „szekińskiego”). W wielu przypadkach wytłumaczy to nam, dlaczego np. po studiach rolniczych osoba ta trafiła do dyplomacji (dosłownie cała obsada kaukaskiej ambasady w pewnej europejskiej stolicy wywodziła się kiedyś z jednego dość małego miasteczka – tego samego, w którym przyszedł na świat były minister spraw zagranicznych tego kraju).

Warto w tym momencie wspomnieć, że stosunki międzyludzkie na Kaukazie są cały czas dużo mniej sformalizowane niż na Zachodzie. Gdy u nas stykają się ze sobą funkcje społeczne – petent i urzędnik, klient i sprzedawca, kierowca i policjant z drogówki, pacjent i lekarz – tam są to jeszcze często bardziej spotkania człowieka z człowiekiem. Dlatego policjant po zatrzymaniu samochodu do kontroli podaje kierowcy rękę (co nie oznacza, że nie zażąda od „znajomego” łapówki – choć łapownictwo bardzo się w całym regionie w ostatniej dekadzie zmniejszyło). Dlatego klient, wchodząc do sklepu, nierzadko najpierw pyta ekspedienta o imię – aby nie zwracać się doń bezosobowo. Dlatego w telewizji rzadko usłyszymy, że sąd skazał, powiedzmy, Timura S. na rok więzienia – zazwyczaj poznamy nazwiska skazanego oraz sędziego. A w kronice wypadków przeczytamy, jak nazywała się dziewczyna potrącona śmiertelnie przez samochód, a nieraz – pod jakim adresem mieszkała (gdybyśmy chcieli złożyć kondolencje rodzinie).

Oczywiście życie idzie naprzód, system klanowy eroduje, w dużych miastach w stosunki międzyludzkie nieuchronnie wdzierają się anonimowość, a nowe reguły gry zastępują stare. Dlatego do państw naszego zainteresowania trzeba jeździć jak najczęściej, korzystając z każdej nadarzającej się okazji, a na miejscu warto nie tylko spotykać się ze starymi znajomymi, lecz także starać się

nawiązywać nowe kontakty, zwłaszcza wśród ludzi młodych. I cały czas trzeba być gotowym do rewizji własnych utartych przekonań, nawet gdybyśmy byli do nich bardzo przywiązani.

Szczególnie że od początku trzeciej dekady XXI wieku Kaukaz Południowy stał się areną znaczących przemian: oto Gruzja, która spośród byłych republik ZSRR najkonsekwentniej – nie licząc państw bałtyckich – dążyła do integracji z Zachodem, zawraca z tego kursu, a Armenia – formalnie cały czas sojuszniczka Rosji – deklaruje chęć wstąpienia do UE. Rzecz jasna procesy te trwają miesiące i lata: sytuacja, dajmy na to, 1 lutego, może niewiele różnić się od tej z 1 stycznia, a ta 1 marca – od tej z 1 lutego. Taka kolej rzeczy usypia naszą czujność, przez co ryzykujemy przeoczenie, że 1 grudnia można mieć już do czynienia z nową rzeczywistością. Dlatego analityk powinien stale zadawać sobie pytania, czy jego tezy wciąż są prawdziwe i czy nadal pasują do opisywanego stanu rzeczy.

Bilans 30-lecia

Zajmuję się Kaukazem od wczesnych lat 90., czyli przez ponad trzy dekady, z których dobre dwie przepracowałem w OSW – i jeszcze mi się nie znudziło, bo Kaukaz ciągle potrafi mnie zaskoczyć. Do dziś, gdy mogę polecieć do Londynu albo Pekinu, zwykle wybieram Tbilisi, choć od lat ciągnie mnie też bardzo na drugą stronę Morza Kaspijskiego – do Azji Centralnej. Oprócz stałego korzystania z serwisów informacyjnych i specjalistycznych opracowań staram się być na bieżąco z kaukaską i centralnoazjatycką kulturą – literaturą, kinem, muzyką – gdyż artyści nieraz zauważają (i potrafią nazwać) rzeczy umykające publicystom i akademikom. Przykładowo istotę rozgrywki pomiędzy prezydentem Kazachstanu Kasymem-Żomartem Tokajewem a jego poprzednikiem Nursułtanem Nazarbajewem, który wyniósł go zresztą do władzy, najłatwiej bodaj zrozumieć dzięki lekturze powieści Iliasa Esenberlina *Koczownicy*, poświęconej początkom Chanatu Kazachskiego w XV wieku. Wspominam o tym w książce *Wieczne państwo. Opowieść o Kazachstanie*.

Moim największym sukcesem analitycznym było chyba przewidzenie wybuchu wojny rosyjsko-gruzińskiej w sierpniu 2008 r. Sukces ten dzielię zresztą z kolegami, bo wspólnie doszliśmy do podobnych wniosków. Interwencja Moskwy wisiała w powietrzu już od wiosny i mówiliśmy o tym z Krzysztofem Strachotą na spotkaniu w Sejmie. Wtedy sądziliśmy jednak, że pretekstem do jej wybuchu staną się wydarzenia wokół Abchazji (ostatecznie poprzedziła ją eskalacja napięcia wokół Osetii Południowej). Jakkolwiek dwuznacznie by to brzmiało, analityka budują właśnie sytuacje kryzysowe. Bartłomiej Sienkiewicz – jeden z twórców OSW – określił kryzys mianem „święta” analitycznego: „Kto nie przeżył przynajmniej jednego poważnego kryzysu w analityce, ten nie wie,

co to życie. Kryzys ujawnia to, co w każdej instytucji jest najlepsze i najgorsze, jest jak «sprawdzam!» w pokerze” (*Jak to się robi? Radykalny poradnik analityczny* [w:] *Okręt Koszykowa*, Warszawa 2007, s. 108).

Na miesiąc przed tamtą wojną udzieliłem krótkiego komentarza „Rzeczpospolitej”. Powiedziałem w nim: „Sytuacja jest poważna. Nie wykluczam, że dojdzie do wojny. Chociaż wydaje się, że żadnej ze stron na niej nie zależy. Gruzji utrudniłaby integrację z Zachodem. Poza tym Osetia Południowa i Abchazja to naczynia połączone. O ile z Osetią Gruzini by sobie bez problemu poradzili, o tyle z Abchazją byłoby już trudniej. Osetyjczykom i Abchazom zależy zaś na utrzymaniu status quo. Z kolei Rosja, angażując się w wojnę, straciłaby resztki reputacji «bezstronnego mediatora». Poza tym w 2014 r. mają się odbyć igrzyska [zimowe – WG] w położonym obok granicy Abchazji Soczi. Gdyby w regionie trwał konflikt, olimpiada zostałaby Rosji odebrana. Jeżeli więc Moskwa bierze pod uwagę wojnę, wybuchnie ona w najbliższym czasie”.

Kilka miesięcy później zostałem zaproszony jako ekspert do powołanej przez UE niezależnej komisji mającej wyjaśnić okoliczności wojny. Prace tego zespołu, kierowanego przez ambasadora Heidi Tagliavini ze Szwajcarii, zaowocowały powstaniem obszernego, liczącego ponad 1100 stron raportu.

Mogę być też dumny z wprowadzenia do analitycznego obiegu w połowie lat 90. terminu „parapaństwo”.

Do moich porażek należy choćby niedocenienie azerbejdżańskiej determinacji w odzyskaniu kontroli nad zajmowanymi przez Ormian terytoriami w przededniu drugiej wojny karabaskiej jesienią 2020 r., a także skali azerbejdżańsko-tureckiej współpracy wojskowej. Stały się one jasne już w pierwszych dniach starć.

* * *

Kaukaski mikrokosmos można zgłębiać latami – i życia nie starczy, żeby poznać go do końca. To obszar pograniczny, gdzie góry stykają się z morzem i stepem, Europa – z Azją, Rosja – z Turcją i Iranem, chrześcijaństwo – z islamem, islam sunnicki – z szyickim, a oba – z judaizmem i wierzeniami tradycyjnymi, żywymi do dzisiaj przykładowo w Abchazji. Jak zauważył Krzysztof Środa, autor inspirowanej książki *Podróże do Armenii i innych krajów z uwzględnieniem najbardziej interesujących obserwacji przyrodniczych*, w regionie tym „wszystko przechodzi we wszystko: komunizm w kapitalizm, Europa w Orient, jedna religia w drugą, mieszają się strefy klimatyczne, pojawiają się trochę inne zwierzątka, ale nie całkiem inne”.

Kaukaz fascynuje może najbardziej dlatego, że wymyka się jednoznacznym definicjom i niezmiernie trudno go zasufladkować. Z całą swoją różnorodnością jest jednocześnie Wschodem i Zachodem, Północą i Południem. Tworzy własny, osobny świat. Odrębną planetę.